

GWIĄZDKA

DLA MŁODSZEJ DZIAŁY.

DODATEK DO „DRUŻYNY“.

Spełniły swój obowiązek...

Od dwudziestu lat ocieniały drzewa wiśniowe zagrodę rolnika; posadzone były wtedy, gdy cieśle skończyli budowę domu, a na skończonym dachu zawiesili zielony wianek. Drzewa z początku były małe—jak synek 10-letni, który pomagał ojcu przy sadzeniu. Pielęgnowane jednak rosły prędko, a po kilku latach zakwitły i pokryły się owocem. Toż to była uciecha, gdy dzieci mogły raczyć się soczystym owocem z własnego ogródka! Drzewa rodziły tak obficie, że wisienek starczyło i dla wszystkich dzieci z sąsiedztwa. Ale i inne korzyści przynosiły wiśnie: upiększały cały dom, tworząc przed nim stale zieloną girlandę; zimą, gdy liście opadły, girlandy te były ze śniegu i szronu, a iskrzyły się wtedy tysiącami iskier złotych i srebrnych; broniły też domu od wichrów i burzy, dawały cień w czasie upałów letnich i nawet kilka razy obroniły szyby w oknach od gradu, który jednak, nie mogąc pobić szyb, pociął niemilosiernie liście i zawiązki owoców.

Nadeszła wojna, a z nią pożary i inne nieszczęścia. Ludzie żyli w trwodze i czekali zmiłowania Boskiego. Kilka miesięcy trwały walki nad miasteczkiem, mieszkańcy żyli pod ciągłym strachem i kulami, postanowili jednak wytrwać do końca. Ale wytrwać nie mogli. Rozszalała bitwa straszna, zażarta... kule runęły na miasteczko—na kościół, domy, na ludzi... Wszyscy rzucili się do ucieczki w pole, po-

rzucając płonące zagrody. Pożar objął całe miasteczko i szalał przez parę dni.

Wiśnie były świadkami tego do ostatka. Widziały lecące pociski i łuny pożarów; wokoło nich szalały płomienie, a najbliższy gorzał dom sąsiadów—tuż przed oknami zagrody i domu, którego wiśnie strzegły. Dom ich właściciela był z dobrego drzewa; i zagrzewał się mocno od pobliskiego ognia; deski zaczęły kurczyć się od gorąca i trzeszczeć, szyby pękały od żaru, żywica ze ścian smolnych ciekła strumieniami.

— Zginiemy od tego piekielnego ognia—szeptaly belki i odrzwia domu.

— Za chwilę będzie po nas—mówiły drzwi, płacząc od gorąca i lejąc ogniste sople łez żywicznych. Żal im było ginąć tak marnie.

Widziały to wszystko wiśnie i postanowiły za wszelką cenę bronić domu.

— Gospodarz nas posadził w dobrą ziemię—mówiła jedna—miałyśmy dosyć pokarmu, nie przymierałyśmy głodem.

— A dzieci podlewały nas wodą, czyścili i nie dawaly żreć wstrętnym robakom—mówiły inne.

— A goście jak nas lubili, a dzieci z miasta jak się cieszyły naszym owocem!—nie łamały nam gałęzi i kory nie psuły—odpowiadały inne wiśnie.

— Obronimy dom przed pożarem—zawołały wszystkie razem.

Zgoda nastąpiła odrazu: wiśnie zabrały się do obrony. A czas był już wielki: dom pękał od gorąca i lał

potoki łez żywicznych. Wiśnie zabrawy się do dzieła: rozpostarły gałęzie jaknajszerzej i zaczęły okrywać dom liśćmi, z pomiędzy których śmiały się dojrzałe wisienki. Rozpoczęła się też walka z żywiołem: ogień syczał i szalał ze złości, spalał tysiącami iskier i lizał ogniwemi języki dom. Ale trudna to była sprawa: wiśnie tak go szczelnie okrywały swą zielenią, że ogień napróżno wyteżał swe siły, chcąc wzniecić pożar. Cierpiały też na tem strasznie: ogień piekł je całe, kurczył im korę, skręcał liście, suszył i zapalał wierzchołki. Wiśnie jednak trwały do końca, a ogień zaczął słabnąć. W końcu zgasł zupełnie. Wokoło dymiły się zgłiszczą, wiśnie zczerniały od ognia i dymu milczały ponuro, dom zaś pośród nich stał czerwony od żaru, oblepiony soplami żywicznego soku.

Przeszła zima i nastąpiła wiosna. Pozostałe w polu drzewa, które uniknęły zagłady, wydały listki i zazieleniły się pięknie, a wkrótce zakwitły białym kwieciami. Ale wiśnie nie powróciły do życia—oddały je w obrotnie domu swego pana, który je pielegnował. Czarne ich konary sterczą do dziś smutnie. A gospodarz wrócił do chaty z dziećmi i czeka lepszych, jaśniejszych dni. Wokoło sterczą szczątki kominów i kupy popiołu, na którym już chwasty porosły. A gospodarz, siedząc we własnym kąci, spogląda na zczerniałe wiśnie wdzięcznym okiem i opowiada dzieciom, jak te mu siedzibę uratowały. A na jesieni znowu posadził przed domem wiśnie, mówiąc do dzieci: „Niech rosną! Nie mnie, to wam korzystać kiedy przyniosą. Pamiętajcie je ochraniać i szanować, a one się zawsze wam w jakikolwiek sposób odwdzięczą! *A. Chętnik, 1916.*

Polowanie na wilki.

(Dokończenie).

— Już nas poczuli! W koniel w koniel bo inaczej zginiemy wszyscy!
— Cichol zawołał z gniewem strze-

lec, — usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać. Strzelać! strzelać! wołacie; a cóż będzie z tego? zabijesz pięciu albo dwudziestu, a stu się na ciebie rzuci i poźre!

A wszyscy na groźne starego myśliwca słowa posiadali na ławach; konie, jakby niebezpieczeństwo poczuli, w chyżym biegu zaledwie dotykały ziemi.

— Jeżeli dostaniemy się prędzej na utarty gościniec, ocalimy się zdrowo. Rachujcie teraz, panowie, wilków, co się wam strzelać zachciało.

Czesław spojrział. Co zdawało się zdaleka wśród śnieżnej zawiei kawałem pola, była to gromada wilków; szły w gęstej masie, kilku tylko wybiegło naprzód. Przy zmroku coraz większym błyskały ogniem oczy zjadłych i zgłodniałych zwierząt. Czesław usiadł na jednej ze strzelcem ławie, a ten zcicha rzekł do niego:

— Tego wilka, co najbliżej widzicie, zabić nie trudno; ale ten chyba strzeli, kto chce by kości jego święta ziemia nie przykryła, ale żeby je zaszczerbiły zęby wilcze, a dzioby kruków szpik wydziobały. To wilczyca!

Tu przestał, jakby dokładnie wszystko objaśnił; nagle odwrócił głowę, widać było na jego twarzy bladeść, usta zsiniały. „W koniel na rany Chrystusowe! w koniel!“—zawołał.

Dobyl kordelas, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił odrazu; nie było słyhać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy, spojrział w około, a widząc, że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca, wysadzona lipami, których jeno suche konary sterczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwa-wione prosię, i z zamachem wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżej pędząca zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać. Przyskoczyło więcej wilków, ale śnieżycą nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich kąskiem. Wszyscy poziebli od mrozu i wiatru, wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica zcicha rzekł: „Już widać we wsi dzwonnice“.



W kozie.

Strzelec naszykował dubeltówkę.

— No, panowie!—zawołał, jeszcze dla nas ostatnia nie wybiła godzina; ale trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony. A teraz, Macieju—zawołał na woźnicę, — co koń wyskoczył i woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny wyciągnęły się, prawie brzuchem dotykały ziemi, leciały jak na sokolich skrzydłach.

Wiatr doniósł szczekanie psów ze wsi, świeciły ognie przez małe okienka chatek; wystraszeni łowcy wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki u dubeltówki i zawołał głośno: — „Pano-

wiel który może, do mnie się niechaj obróci i ognia razem!”

Zadrzała ziemia od huku strzałów, po nich usłyszano głucho wycie wilków. — „Ognia znowu!” — krzyknął strzelec, i tak raz po raz grzmiały strzały, których echem było okropne wycie rozwścieczonych bestji.

Już blisko było opłotków, a stado goniących wilków ani na chwilę się nie wstrzymało; psy ze wsi całej, jedne na dachach chlewów i obór, drugie, skryte w budach, żałośnie wyły; zuchwalsze, które się na drodze pokazały, w oczach myśliwców rozszarpane zostały bez znaku. Leciały sanie przez wieś... już są na dziedzińcu dworu, skąd tak wesoło i radośnie wyjeżdżali. Zaledwo wpadli do

dworu i drzwi zatarasowali, stado wściekle zapełniło dziedziniec. Ogromne kundle, wyżły, charty — przeszło dziesięć psów w jednej chwili wilky rozszarpali. Blizko godzinę grzmiały strzały. Księżyc zmrok rozjaśnił, zjadła wilków gromada rozpieczęła się i znikła w nocnej pomroce.

Rybka mała i szczupak.

Widząc w wodzie robaka, rybka jedna [mała,
 że go połknąć nie mogła, wielce za- [łowała
 Nadszedł szczupak, robak się przed [nim nie osiedział.
 Połknął go, a z nim haczyk, o któ- [rym nie wiedział.
 Gdy rybka na brzeg ciągnął korzyść [okazała,
 Rzekła rybka: Dobrze to czasem być [i mała.

I. Krasicki.

ZAGADKA.

Jechało dwóch ojców z synami i dzie-
 dek z wnukiem.

Ilu było wszystkich?

SZARADA.

Pierwsze z czwartem to, co w powie-
 [trzu wyprawiają,

Drugie z czwartem — tak się zwierzęta
 [nazywają,

Trzecie z piątym to, czem Bóg obdarza
 [człowieka,

Wszystko to, co konie zastępuje i szyb-
 [ciej od nich ucieka.

Rozwiązanie rebusa z № 4 „Gwiazdki“:

Pod-ła-sem na łą-ce o-wiec-zek tysiące.

(Pod lasem na łące owieczek tysiące).

Dobre rozwiązanie nadesłali: Ignacy Pie-
 kosz, Stanisław Wrony i Andrzej Sarniak.

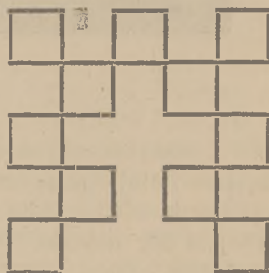
Rozwiązanie: I łamigłówki z zapalek z
 № 5 „Gwiazdki“.

Po odjęciu 8 zapalek otrzymamy taką
 figurę z 8 kratek:



Rozwiązanie II łamigłówki zapalkowej:

Po odjęciu 16 zapalek otrzymamy taką
 figurę (11 kratak).



Rozwiązanie rebusa z № 5 „Gwiazdki“.

Pod-ły-czł-o-wiek-ni-ewa-rt-grosz-a.

(Podły człowiek nie wart grosza).

SPIS RZECZY: Spełniły swój obowiązek.—Połowanie na wilki (dokończ.).—W kozie (rys.)—
 Rybka mała i szczupak (wiersz).—Zagadka.—Łamigłówka.—Rozwiązanie rebusów i łami-
 główek zapalkowych.